

Fragment nr 3

Zofia Kossak, *Doczekał* [w:] *Bursztyny*, Wydawnictwo Śląsk, 1990, (opowiadanie ze str. 341-348)*.

Opowiadanie *Doczekał* zaczyna się informacją o szczególnej sytuacji Hajdy, górnika, starego Ślązaka, którego wszystkie myśli zacierają ku Polsce, której obraz w pamięci ślepcy gra wszystkimi, zapamiętanymi z młodości kolorami. Obraz ten staje się jego ucieczką podczas smutnej rozmowy z gośćmi i ożywa w kulminacyjnym momencie powitania polskiego wojska. Jego urealnienie wykracza poza granice wytrzymałości psychicznej bohatera. Witając wymarzoną Polskę, Hajda umiera.

Bohater: Wawrzyniec Hajda

*zachęcamy do przeczytania wszystkich opowiadań

Wawrzyn Hajda wyciągnął rękę i zmacał leżący na stoliku, świeżo otrzymany list od Piotra Rudy. Był to list prawdziwy, po polsku pisany, nie zwykła karta z frontu, bezosobowa i martwa, zawierająca krótkie, stereotypowe zapewnienie po niemiecku: „Jestem zdrow i dobrze mi się powodzi”.

Ruda był mądrałą nie lada i zawsze potrafił nie tylko list napisać, ale go unteroficerowi¹ pod dobrą chwilę podsunąć, że stampilę cenzurową² nie patrząc przyłożył i list do worka pocztowego wrzucił.— Stary ślepiec obracał go ostrożnie w dłoniach, z radością wspominając treść, tak jak ją przed chwilą przeczytała jednym tchem gospodyni paniczka Grackowa. Spieszyła się do kuchni, więc nie śmiał prosić o przeczytanie powtórne. Teraz wodząc dłonią po papierze, przypominał sobie, że najprzód były pozdrowienia dla wszystkich krewnych i znajomych, potem pomyślnie wiadomości o własnym, Piotrowym zdrowiu, a potem to właśnie... W którym miejscu?

Położył list na kolanach, przesuując po nim ostrożnie palcami wrażliwymi jak struny skrzypcowe. Litery, z których składały się słowa niezwykle, winny się czymś wyróżniać. Być większe, wypuklejsze... Jak wyglądają litery? Z gęstego zasieku ciemności, trwającej już prawie pół wieku, myśl wierna wywlokła na wierzch mętne wspomnienie jednostajnych sznureczków czerniejących na białym papierze. Zlewały się w jedno, nie pamiętał już poszczególnego kształtu żadnej. Więc wnet w ich miejsce nadpłynęła usłyszana nowina, dźwięcząca pełnym, radosnym tonem wyrazów: „...tu wszyscy godają, że Polska być musi i będzie, jeno patrzeć, — bez niemieckiej łaski... Wojska polskiego już pono kajś tam po ruskiej i alianckiej stronie jest wielko kupa. Rychtujcie, Wawrzon, nowe śpiewki, bo Polska będzie naprawdę, ze wszystkimi wsiami, które jeno po polsku godają...”

— Czym sobie Ruda ujednał unteroficera, że podobne pisanie przepuścił?! Nie wiadomo. Dość, że przepuścił i oto list śpiewał tęczą myślom ślepcy. Ukrywszy go w zanadrzu, stary Hajda plótl gorliwie z płaskiej trzciny siedzenie do krzesła, co było zwykłym jego zajęciem od lat. Plótl, zasłuchany w echo słów:

...Będzie!... I Śląsk razem... O, Jezu!... — Opuścił ręce z robotą, bo duszność go zdjęła na chwilę z radości, lecz zmógł ją i pracował dalej, zatopiony w myślach. Niosły go daleko, ku Polsce. Ze wspomnień młodości szczęśliwej, widzącej, zachował w pamięci niektóre obrazy. Więc Polska jawiła się przed nim zawsze jako zielonomodne błonie, rozległe, zalane słońcem. Po tym błoniu, na którym nie stał ani jeden żandarm w pikelhaubie³, ani jedna tablica z tym

¹ unteroficer (niem.) — podoficer

² stampila cenzurowa — pieczęć urzędu zezwalającego na doręczenie listu

³ pikelhauba (niem.) — noszony przez wojsko pruskie kask zakończony na szczycie grotem

lub innym „verbotenem”⁴, — jechali trójkami ułani. Widział takich niegdyś, niegdyś na kolorowej litografii⁵ z obrazu Kossaka.⁶ Mieli długie lance z wąskimi proporczykami, ich rabaty⁷ kwitły, jak grzędy w ogrodzie, konie szły strojnie, lekko wyginając szyje. Jadą śpiewając:

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami...

Tętni uległe ziemia pod rytmiczną chłostą kopyt, burza młodych głosów niesie pieśń. Szumią proporczyki w wietrze...

Wśród gęstego mroku zalegającego izbę dokończył wyplatania krzesła. Przesunął dłonią po rękawie kapoty, w którym zauważył był przedtem rozdarcie. Z drewnianego pudełka wyjąwszy igłę i nici, ruchem pewnym, niepojętym w swej sprawności dla człowieka widzącego, nawłókł nitkę i począł naprawiać ubranie starannie, pieczołowicie, prostując każdy ścieg palcem. Puste oczy utkwiał przed siebie, zamyślony, ostrym profilem głowy, chudą szyją majacząc na tle okna, niby wielki, oczekujący dnia ptak.

„...A dycki śpiewomy pieśniczki, coście nas nauczyli, żeby zaś Szwaby w całym szwadronie wiedziały, żechmy Polaki”... — zabrzmiały mu w uszach dalsze słowa listu. Uśmiechnął się do nich w ciemności, a wyciągając z wolna, precyzyjnie igłę, pobiegł myślami wstecz daleko, ku latom młodym, tak niewymownie odległym, że w zdziwieniu pytał się niekiedy sam siebie, zali możliwe, aby on to sam żył od tak dawna?...

...Dobrotliwie pofałdowana twarz księdza Purkopa, co pierwszy polską książkę dał do ręki... Lompa, Miarka⁸, niestrudzeni budziciele, co go miłować Polskę nauczyli, którym zawdzięczał właściwą swą duszę... Wieczne odpocznienie racz im dać, Panie!... Pomarli dawno. Młoda żona... dzieci... Na wpół zatarte obrazy, roześmiane w słońcu... Nie żyją także od lat!.. Jegoż to było życie?... jego własne? Patrzył bystrymi oczami. Spuszczał się co dzień w głąb kopalni, jak król do swego państwa. Grało mu wszystko i śpiewało, nawet stukanie kilofów, zgrzyt tacek. Śpiewała w nim dusza weselem...

...Aż się zważyło zaczajone w głębokiej sztolni nieszczęście. ..

Schował igłę do pudełka i wdział naprawioną kapotę. Myśli szły dalej gościńcem wspomnienia. Bryła kalectwa, jak kamień graniczny, dzieliła jego życie wewnętrzne na dwie części. Gdy zamarły kształt i barwa, nowej, przedziwnej dla skołatanej duszy treści nabrał dźwięk. Stał się kolorowym, pełnym, zdolnym powoli zastąpić wszystko inne. W głębi nieustannej nocy pojął dopiero teraz niezmierną jego ważność, dzielność i przekonywającą moc. Zrozumiał mowę tonów, przemadrą ich harmonię wybiegającą daleko poza możliwości języka ludzkiego, określone ciasną granicą wymowy. Wydało mu się, że dopiero teraz miłuje Boga i Polskę prawdziwie, gdy wielkość ich, dostojność i piękno umie wygrać i wyśpiewać.

Każde wrażenie zmieniało się w pieśń-pocieszycielkę. Tych skarbów odkrytych nie czuł się w prawie chować dla samego siebie. Uczyć pieśni! Budzić pieśnią! Pieśnią wlać w serca odwagę, jasność niezachwianą w myśli!... Ubogi kaleka stał się rozdawcą skarbów nieprzebranych. Dzieło wielkich wskrzesicieli, Stalmacha⁹, Miarki, on dopełniał śpiewem, utwierdzał na fundament pieśnią.

Teraz w ciemnej izbie zgarbiony na stołku, zanucił z cicha pierwsze swe wezwanie:

...Wraz więc śpiewajmy! Choć dola przygniata,

⁴ „verboten” (niem.) — zabronione, zakazane

⁵ litografia (z gr.) — rysunek kredką lub tuszem na specjalnym kamieniu, umożliwiającym powielanie na papierze

⁶ Kossakowie — Juliusz i Wojciech, malarze scen batalistycznych i rodzajowych, koni i portretów

⁷ rabaty — wyłogi

⁸ ks. Purkop, Lompa, Miarka — zasłużeni działacze śląscy

⁹ Stalmach Paweł — działacz cieszyński

Pieśń niech nas wszystkich bratnim węzłem splata,
Pieśń w swoim łonie skarby nieba kryje —
Cześć jej i sława! Niechaj nam pieśń żyje!...

Rozbrzmiewało ono długi szereg lat. Oto pierwsze na Śląsku kółko polskie śpiewackie, zwane, w miarę jak je Prusacy zamykali, Kołem Św. Alojzego i Kasynem Polskim. Na koniec chowali się, by śpiewać, do Herodowej kaplicy w niedokończonej Kalwarii, skąd dzieciaki przezywały ich Herodami, a gdy żandarm i to schronienie wytropił, to w lasach albo na polu...

Hej, czasy to były, czasy! Ile jego pieśni rozeszło się po Śląsku? Chyba z osiemset... Różne były, ale o jednym mówiły... I minione lata pracy wydały mu się naraz niby rola, którą jako siewacz tajemny zeszedł ukradkiem, przecież starannie, nie omijając ni piędzi...

Drzwi skrzypnęły. Nieomylnym słuchem poznał, że idą gospodarz Franciszek Gracek, proboszcz Woźniak i sztygar Pompała. Pozdrowił ich serdecznie, prosząc, by lampę zaświecili, bo wiadomo, widzącym niemiło w mroku siedzieć, a na polu już dawno ćma być musi.

— List macie? — zagadnął proboszcz.

— Jest — rozpromienił się Hajda podając mu papier. Ksiądz czytał głośno, z uwagą, wśród ogólnego milczenia.

— Wszędy padają, że Polska zaś bydzie... — przytwierdził sztygar nakładając fajkę.

— Ze wszystkim, co polskie było... — dodał żywo Hajda.

— To i Śląsk niby?

— A toć.

— Nie wiadomo, czy tam jest, ale po co drzyć się do tej Polski — zauważył sztygar obojętnie.

— A czemu też tak?! — obruszył się stary.

— Siednijcie se, Wawrzyn! To tam nic wielkiego... Jakoś niepieknie o Polsce godają... Był tu jeden z Dąbrowy niedawno... Godo! „po bolszewicku wszystko zrobimy, nie trzeja nam księzków ani sztudyrowanych panoczków”¹⁰.

— Zbój to jakisik abo chachar¹¹ godo!.

— Żoden zbój, jeny górnik... Wam, Hajdo, dycki się widzi, że w Polsce sami święci, a nam trzeja dobrze rozwożyć, czy się też oplaci do Polski należeć. We Warszawie tyż o nas Ślązaków mocka nie stojom...

— Nie dejcie wiary, ludkowie, nie może to być!

— Bajić! Wy, Hajda, godocie całkiem, kiej dzieć. My wiemy prowde od ludzi żywych, kierzy¹² stamtąd do nas przyszli, nie z ksiązek... Życie nie śpiewki! Jeszcze tej Polski ni ma, a już się w niej ludziska jak psy żerą.

— Niemce to godają na złość.

— Kiej nie Niemce, a Poloki. Naisto¹³ wom padom, w Polsce ni ma dobrze. Z Niemcem nom źle, a w Polsce jeszcze będzie gorzej.

— Panie farorzu¹⁴, a dyć godejcie też co, dyć to tak nie może być!

Ksiądz tarł z frasunkiem podbródek.

— Niedobrze jest podobno — westchnął. — I gazety o tym piszą... Mam tu właśnie „Gazetę Ludową”...

¹⁰ sztudyrowanych panoczków — wykształconych panów

¹¹ chachar — gałgan, włóczęga

¹² kierzy — którzy

¹³ naisto — naprawde

¹⁴ farorz — proboszcz

Lecz stary zaprzeczył głową uparcie i zamilkł pogrążony w żalu. Goście rozmawiali jeszcze długo, stukając kuflami piwa, po które posłał gospodarz. Czytali głośno gazetę. Nie słyszał nic z tego. Odgrodził się od nich milczeniem, cofając w swą noc nieustanną. Tam, za szansem kalectwa, w państwie swym własnym, swobodnym, otrząsnął z głowy ich gadki cudaczne wybiegł myślą daleko. Oto łąka zielona, słoneczna, jak szczęście... Jadą żołnierze polscy, radosne zwiastuny swobody... Jadą śpiewający... Otwiera im duszę na oścież... Otwiera serce stęsknione na przestrzał... Wita chyląc się do kolan, ni to gospodarz oczekiwanym od lat wielu gościom...

Czerwcowe słońce grzało pergaminową twarz starego Hajdy. Wśród tłumu, huczącego jak morze, przepasany powstańczą wstęgą waleczności, stał pod bramą tonącą w zieleni i kwieciu. Brama wzniesiona była na tym samym gościńcu, którym niegdyś król Jan III jechał, by się cudownej Matce Boskiej w Piekarach pokłonić. Tłum czekał. Hajda czekał wraz z nim, lecz zalękniony jakiś i niepewny. Może dlatego, że był coraz bardziej stary i osierocony, wydawało mu się teraz często, że długie lata prześladowań i okrucieństw pruskich mniej były ciężkie i bolesne, niż chaos ostatnich czterech lat. Zmęczyły go i stargały do cna. Dawniej droga była prosta: po jednej stronie niedościgniona, świetlista ojczyzna, po drugiej nienawistny wróg. Obecnie skłębilo się wszystko. Z zagmatwanej płataniny wyłaniało się oblicze inne niż to, w które całe życie wierzył. I oto dzisiaj, dożywszy chwili zwycięstwa, czekał pod bramą, utkaną flagami, z duszą pełną niepokoju. Dawny obraz Polski, rozświetlający ciemnicę kaleczą, zaginął w szarpaninie dni, w powodzi obmierzłych wieści prawdziwych i nieprawdziwych, zatracił się doszczętnie, spełził. Czym go zastąpi? W jakiej postaci zjawi się Polska za chwilę?

— Idom!!! — chwycił go za łokieć przyjaciel i opiekun, Franek Gracek.

— Kandy?!¹⁵

Krzyk tłumu zgłuszył odpowiedź. Potężne: „Idą! Idą!” niesło się ponad głowami. Ludzie parli wprzód, pchali się jedni na drugich, nieczuli na nic, wpatrzeni... A oni szli rzeczywiście. Złoty pył drgał ponad nimi. Miarowo dygotała ziemia.

— Gracek! Godejcie! Gdo¹⁶ idzie naprzód!?

— Ułany idom...

— Ułany?!

Chciał pytać dalej, lecz głos zatonął w grzmocie radosnym wiwatów. Ku nadjeżdżającym wyciągnęły się wokoło setki ramion.

— Godejcie! — zebrał stary na wpół z płaczem, targając przyjaciela za rękaw.

— Co mam godać? Już som blisko... Wnet bedom. Pięknie w słoneczku jadą. Zielone błonie za nimi. Ułani mają chorągiewki żółte, lance¹⁷ błyszczą, muzyka przodem... Co się wam stało, Hajdo!?!... Co wam?

Załamął się, opadł stary. Oto marzenie utracone było prawdą, szło ku niemu!... Boże!!... Widzieć!... Widzieć!.. Ujrzyć wytkany w ciemności sen rzeczywistością! Cudu! Widzieć!... Zobaczyć!!... Bodaj na sekundę!!... Widzieć!!...

Szlochał w głos, niebacznym, że już nadjechali, zapominając pracowicie przygotowanej przemowy. Zgarbiony, ścisnął siwą głowę oburącz z rozpaczą.

— Och, widzieć!... widzieć!... Chryste, ja chcę widzieć!...

Dowodzący wojskami generał Szeptycki nachylił ku niemu twarz prawie z tklivością.

— Nie możesz pan widzieć wojska polskiego, ale usłyszysz za chwilę tętent ułanów polskich, wjeżdżających...

Krótki rozkaz, moment ciszy.

¹⁵ kandy?! — gdzie?

¹⁶ gdo? — kto?

¹⁷ lanca (z niem.) — broń o wąskim grocie na długim drzewcu z proporczykiem

Srebrny wrzask trąb rozdarł powietrze, zatargnął tłumem, wybił się w górę, popłynął. Zagrzmiała ziemia pod ulewą nagłą kopyt, zaszumiały proporczyki, burza młodych głosów podniosła pieśń nieśmiertelną, młodą, rodzoną, zwycięską.

— Jezu!... — wyszeptał ślepiec i padł bez czucia na ziemię.